



TYPY LUDOWE.



fol. W. Zarewicz.

MAZURZY Z POW. SUWALSKIEGO.



Franciszek Klein.

Wschód w sztuce ludowej.

Dużo się mówi o stylu polskim. Po głębszym jednak namyśle trzeba przyznać, że właściwie polskiego stylu, w znaczeniu sztuki zachodniej t. j. takiej, która, wyszedłszy z architektury, stworzyła rzeźbę i malarstwo — nie mamy. Bo przecież wszystkie style, jakie spotykamy na ziemiach polskich, to są właściwie przelotne ptaki, które — zagnieżdżwszy się w Polsce — pozornie tylko i częściowo przystosowały się do miejscowych warunków. Tak np. styl gotycki wytworzył tak zwaną szkołę krakowską, renesans ma pewne cechy, spotykane na ziemiach polskich — ale żaden z nich nie wyrósł wśród nas, zrodzony naturalną potrzebą rozwoju i społecznymi warunkami, jak np. gotyk francuski.

Więc cóż my mamy? Nie mamy wielkiego stylu, któryby, od nas wyszedłszy, ogarnął kraje zachodnie. Mamy jednak odrębną sztukę ludową. To jest nasz rodzimy styl. Ta sztuka, do niedawna jeszcze prawie przez nikogo nie znana, a przez ogół pogardzana, obudziła teraz zainteresowanie powszechne w kraju, a także zagranicą, teraz — gdy z niej pozostały za ledwo okruchy. Ta sztuka ludowa stworzyła jeden główny dział t. j. budownictwo drzewne, w którego zakres wchodzi kościółek wiejski, dwór szlachecki z zabudowaniami gospodarczymi i chata chłopska. Tu trzeba zaliczyć także typowy dom z podcieniami, spotykany jeszcze tu i owdzie po małych miasteczkach. Obok architektury drewnianej mamy jeszcze ornamentację rzeźbioną i malowaną. I to jest nasza sztuka samorodna, wśród nas i z naszych potrzeb wyrosła. Naturalnie, że obok tego głównego działu, istnieją także poboczne, jak tkactwo, garncarstwo i t. p.

Ale myliłby się, kto by chciał tę naszą sztukę uważać za sztukę na wskroś oryginalną. Pień główny, czyli architektura, jest czysto polski. Ale na część ornamentacyjną wywierał także wpływ obcy styl, panujący współcześnie w Polsce. Dlatego znajdujemy czasem motywy, które są jakby dalekiem echem gotyku, renesansu i baroku. Ale żaden z tych stylów nie wycisnął na niej tak silnego piętna, jak sztuka wschodnia.

Cofnijmy się do XVII w. i przyjrzyjmy się ówczesnej Polsce. W tym czasie państwo weszło w znak wewnętrzznego rozkładu i anar-

chii. Jest to epoka, gdy szlachta po wielkiem zdobyciu „złotej wolności“ zaczęła się szybko staczać po pochyłej równi, uciskając inne stany. W takich warunkach przemysł i handel nietylko nie mógł się rozwijać, lecz przeciwnie musiał upadać. Że tak istotnie było, na dowód przytoczę choćby Kraków — w XV i XVI wieku miasto pierwszorzędного znaczenia w Europie pod względem handlowym i przemysłowym, które potem jednak, wskutek zakazu wywozu towarów zagranicę, stopniowo upada a w czasach wojen napoleońskich pozostaje w stanie ruiny.

Wobec upadku przemysłu i handlu rzecz prosta, że potrzeby kraju i narodu, które przedtem zaspakajano wyrobami krajowymi, teraz musiano zastąpić produktami obcymi, tem bardziej, że dla przemysłu zagranicznego zostawiono szeroko otwarte granice bez żadnych cel. Polska, leżąca w środku poniekąd pomiędzy Wschodem a Zachodem Europy, ale bliżej Wschodu, zwróciła się naturalnie w tamtą stronę, do Turcyi i dalej — do Azji mniejszej i do Persyi.

Polska oddawna prowadziła ożywiony handel ze Wschodem. W XVII w. przybrał ten handel z powyższych przyczyn, t. j. upadku krajowego przemysłu, największe rozmiary i w znacznej części spoczywał w ręku Ormian. I cóż sprowadzano do nas ze Wschodu. Prawie wszystko. Chciał się kto ubrać, kupował wschodnie materye na kontusz. To, co wyrabiał Słuck, było poprostu kroplą w morzu. Tak samo było z pasami litymi. W dawnej Polsce nie było takiego wykwintu i elegancyi w życiu, jak na Zachodzie. Charakterystycznym dlatego jest ogromne zamiłowanie do wschodnich dywanów, perskich i mało-azyatyckich. Taki dywan wzorzysty i miękki zastępował często w polskim dworze kosztowne meble, obicia na ścianę, miękkie sofy i t. d. Nie obeszło się bez nich w podróży. Osobny wóz szedł zawsze naładowany nimi. Używano ich w namiotach na postojach. Dlatego właśnie sprowadzono je do Polski takimi masami. Np. rejestry skarbcza ks. Ostrojskich podają przeszło 100 wschodnich kobierców, obok tego wyliczają tureckie kołdry, wezglowia, przesćcieradła, koce, chusty i t. d. Nasza broń, zbroje,



bogate rzędy końskie, siodła, czapki były albo wprost ze Wschodu sprowadzone, albo pod wpływem wschodnim wyrabiane. Ważną gałęź handlu tworzyła ceramika. Wielką falą napływały wyroby majolikowe, głównie perskie. Pyszne konie, czystej krwi arabskiej, w których się Polacy tak zawsze lubowali, skądże sprowadzano, jeśli nie ze Wschodu? Cały strój ukształtował się pod wpływem wschodnim. Muzeum ks. Czartoryskich ma oryginalne miniatury perskie, na których widzimy Persów w ich strojach narodowych. Na pierwszy rzut oka zdaje się, że to Polacy, tak podobne są ubiory. Wschód w końcu wycisnął piętno na naszej mowie. Karłowicz ułożył cały słownik wyrazów pochodzenia tureckiego i perskiego, wyjętych z mowy ostatniej doby. Jest to zaledwie drobna część, bo gdy się zapuścimy w język XVII w., spotkamy masę wyrażań, dla nas dziś niezrozumiałych, żywcem wziętych z języków wschodnich.

Wobec tak znacznego wpływu sztuki wschodniej, nie można wprost przypuścić, ażeby ona nie oddziaływała na naszą sztukę ludową, w części ornamentacyjnej. Mógłby ktoś powiedzieć, że przecież u nas przyjęły się inne style, więc także ich ornamentacja mogła oddziaływać na tę sztukę. Zapewne, że tak było. Ale żadna nie wywarła takiego wpływu, żadna nie trafiła tak prędko do przekonania ludu, żadnej tak dobrze nie rozumiał on jak wschodniej.

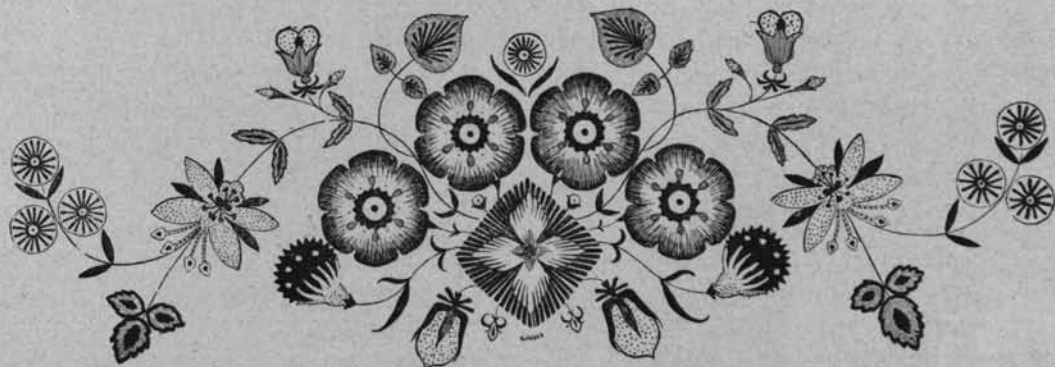
Chcąc zrozumieć przyczynę tak łatwej asymilacji pierwiastków wschodnich przez sztukę ludową, trzeba dowiedzieć się, z jakich motywów składała się sztuka wschodnia. Najsilniejszy wpływ — zdaje się — wywarła sztuka perska, dalej turecka i mało-azyatycka. Persya stworzyła sobie naprawdę bajecznie kolorową ornamentacją, która wyrosła pod bezpośrednim wpływem świata zewnętrznego: roślinnego i zwierzęcego. Te dwa pierwiastki złożyły się na nią, a niesłychana ich różnorodność, ich barwne ujęcie sprawiły niedościgły efekt kolorystyczny. Przy

tem wszystkim sztuka perska jest bardzo prosta; mamy w niej ptaki, zwierzęta i rośliny. Cechuje ją wielka naiwność przedstawienia, choć uderza nadzwyczajną obserwacją świata zwierzęcego i roślinnego. Niema w niej większych kompozycji figuralnych.

Dla naszego chłopca niezrozumiałe były groteski renesansu, ale doskonale przemawiały do jego przekonania te proste kwiaty i ptaki, siedzące naprzeciw siebie, które on na swej roli widział. Poznawał je natychmiast, to mu się podobało i to przyjmował do swojej sztuki. Tych wschodnich wzorów jednak nie trzeba szukać w dywanach, bo choć oba pierwiastki wschodniej ornamentyki występują w nich w najbogatszej formie, jednak są zbyt skomplikowane i poniekąd fantastyczne, a wskutek tego dla chłopca mniej zrozumiałe.

Pierwowzorów sztuki ludowej należy szukać w pasach i w dekoracji ceramiki wschodniej. Motywy z pasów przeszły za pośrednictwem wyrobów słuckich i innych fabryk, bo te wszystkie wzorowały się na oryginalnych pasach wschodnich. Motywy z ceramiki przeszły zdaje się wprost. Wskutek olbrzymiego, powszechnego używania tych wyrobów wschodnich lud stykał się z nimi i o nie ocierał się wszędzie: w kościele, we wsi, we dworze i na jarmarkach. Dlatego, że je widział wszędzie i zawsze, zaczął je często mimowolnie i bezwiednie naśladować. Głównym powodem tej asymilacji była właśnie naiwność i szczerłość w traktowaniu ornamentyki, szczególnie na pasach i w ceramice. Ta naiwność i prostota przemawiała do niego, pociągała go i cieszyła.

Tych wszystkich motywów wschodniego pochodzenia w sztuce ludowej nie należy szukać w sztuce dzisiejszej. Dziś są one już tylko dalekiem echem tych wpływów. Żeby je znaleźć i poznać, trzeba sięgnąć w przeszłość, cofnąć się w wiek siedemnasty i osiemnasty, kiedy są one jeszcze żywe i świeże.





Stanisław Czepeliński.

Z wędrówek po puszczy Kampinoskiej. ²⁾ (dok.)

A serce wypełnia się jakąś cichą radością, z dziwną siłą budzi się ukochanie tej smutnej ziemi...

Lecz czas iść dalej i to przyśpieszonym marszem, bo: „...mrok się rozpościera dałą i coraz cięższy, gęstszy leży... zatopił lasy, zalał góry, pochłonął ziemię do rubieży — na niebie oparł się ponury...” —

Mijamy bardzo długie Famułki, zostawiamy na uboczu Bieliny Brochowskie, przechodzimy folwark i wieś Sianno. Brniemy po piachu ledwie że dostrzegalną drogą, lecz wkońcu wychodzimy na szerszy gościniec, który okazał się traktem sochaczewskim.

Księżyc wyłonił się już i z poza drzew oświecał kilka chałup, wstępujemy więc do jednej z nich, pytając o Janówek i Plocha. „Toć to Janówek, a Kazimierz Ploch ma chałupę po tamtej stronie, za krzyżem”, — informuje nas hoża gosposia, więc uradowani podążamy we wskazanym kierunku.

Na podwórzu u Plocha spotykamy właśnie samego gospodarza, który, dowiedziawszy się, iż byliśmy u jego szwagra, przyjmuje nas na nocleg, ofiarowując nam go w stodole, gdyż w niewielkich izbach z trudem mieści się liczna rodzina gospodarza.

Nie było jeszcze późno, więc zachodzimy do chaty na gawędę; ze trzy godziny siedzieliśmy w ciepłej izbie, słuchając opowiadań o wójtach, strażnikach i t. p. Obiecał nam Ploch pokazać nazajutrz okopy, pochodzące, według jego opowiadania, z rewolucji w 1831 roku, a znajdujące się na jego gruntach; znalazł on na nich 2 kule żelazne okrągłe, średnicy około 2 cm.

Dobrze po jedenastej udaliśmy się do stodoły na spoczynek i pomimo zimna zasnęliśmy natychmiast.

III.

Pięknie zapowiadał się trzeci dzień naszej podróży. Słońce rzucało złote strzały po przez szpary w wierzejach stodoły, na dworze słychać głosy wracających z pola ludzi, wychodzimy więc na świat Boży, z radością witając piękny,

jesienny dzień. Gospodarz nie chce nas zaraz puścić w drogę, ale zaprasza na śniadanie, składające się z pysznego barszczu, grzybów i grochu ze słoniną.

Po śniadaniu oglądamy duże i ładne gospodarstwo, w którym nie brak i maszyn rolniczych, jak siewnik, młocarnia cepowa z kieratem, sieczkarnia, wialnia i t. p., pan Ploch zaś, używa nawozów sztucznych, jak superfosfat, żużel i kainit, w celu powiększenia urodzaju.

Przez zabronowane pole idziemy wązką bruzdą ku okopom, przedstawiającym wydłużony czworobok, najwyższy od strony zachodniej, gdzie musiała znajdować się szeroka fosa; okopy zacienia kępa starych sosen, naokoło których okopali się prawdopodobnie żołnierze, gdyż grube pnie zabezpieczyły znakomicie od kul.

Stojąc na zachodnim narożniku, wysokim jakie 2 metry, widzimy doskonale położony niżej Brochów i potężne mury kościoła.

Ten sam widok mieli przed oczami ci, którzy się tu przed laty bronili, może tu niejednego ręką „...w ładownicy długo i głęboko szukała — nie znalazła...”

...A ciche dziś powietrze rozbrzmiewało wtedy hukiem wystrzałów, a zielone łąki nadburzańskie i lasy nadwiślańskie przesłaniały obłoki dymu.

Opuszczamy ciche teraz jak cmentarz okopy i wracamy do Plocha, czując do niego wdzięczność, że nie zniwelował, nie zarał tego szanica, nie wyciął potężnych sosen, że uszanował pamiętkę.

Żegnając się z sympatycznym gospodarzem, dostaliśmy od niego owe dwie kule. Chcąc się choć w części wywdziękzyć za dar i gościnne przyjęcie (bo ani Pyrak, ani Ploch o przyjęciu pieniędzy za nocleg i jedzenie nie chcieli nawet mówić), ustawiam aparat i fotografuję całą rodzinę Plocha, poczem, obiecawszy przysłać grupę i serdecznie pożegnawszy się ze wszystkimi, ruszamy do odległego o pół wiorsty Brochowa.

Wstępujemy po drodze na cmentarz, na którym znajduje się murowana kaplica z dwiema kolumnami od frontu i wejściem do krypty, oraz kilka grobowców z XVIII i początku XIX wieku.



Uwagę moją zwracają rosnące tu niezwykłych rozmiarów grzyby z rodzaju *Lepiota* pro-cera, dochodzące do 40 cm. wysokości, obwód zaś kapelusza wynosił około 90 cm.

Opuściwszy cmentarz, skierowaliśmy się do wsi, leżącej nad łąką Bzury. Kościół w Brochowie i parafia dekanatu sochaczewskiego, założone zostały przez książąt mazowieckich w roku 1113; kościół był pierwotnie drewniany, dopiero w roku 1561 wznosił murowany, nakształt meczetu, Jan Brochocki, dziedzic dóbr Brochowa, a w początkach XIX w. odnowili go Lasoccy, którzy po dzień dzisiejszy są właścicielami Brochowa.

Kościół przedstawia się zdaleka jak starożytny kasztel; obwiedziony grubym i wysokim murem ze strzelnicami, umocnionym wyższymi narożnikami, posiada dwie potężne okrągłe wieże od frontu i trzecią sześciokątną od absydy. Kościół i opasujący go mur zbudowane z brunatno-czerwonej cegły, twardej jak kamień; pokrywała go dachówka, którą dopiero niedawno zastąpiono blachą.

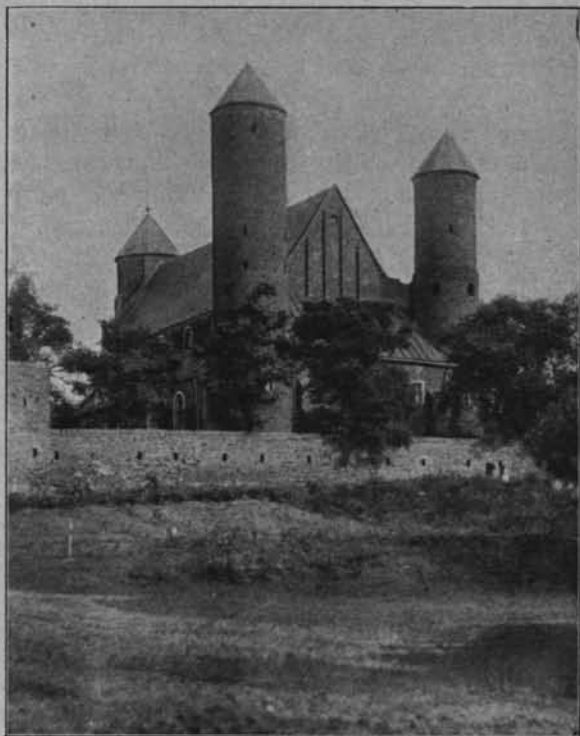
Chcąc zaznajomić się z historią kościoła i zwiedzić go dokładnie, udaliśmy się na plebanie, prosząc proboszcza o informacje. Uprzejmy ks. Bielawski idzie z nami, zwracając naszą uwagę na ważny szczegół architektoniczny, mianowicie na okna boczne, które niegdyś były znacznie dłuższe, czego ślady łatwo spostrzedz i poznać po nowszej cegle; zakończenia okien półokrągłe, półokrągła również jest absyda, zwrócona wschód.

Przez niewielkie drzwi główne wchodzimy do środka cichej teraz świątyni. Wnętrze składa się z trzech naw: wielkiej środkowej i mniejszych bocznych, ponad którymi ciągnie się dookoła galerya, wsparta na kolumnach, przedzielających nawy.

Wchodzimy po wązkich schodach, umieszczonych w jednej z baszt, na galeryę i obchodzimy kościół dookoła. Z okien, wychodzących na północ, widzimy doskonale kościół i klasztor w Czerwińsku, na drugim brzegu Wisły.

Schodząc na dół, zatrzymujemy się na chórze. Na wielkich, starych organach spróbowałem kilka akordów, które potężnym echem odbiły się o sklepienie świątyni, wywołując jakieś nowe, nieokreślone wrażenie...

Podziwiamy z kolei sklepienie kościelne, którego ornamentacja zbudowana jest bardzo dziwnie i misternie; składa się ona z kół i kwadratów, które, jak i drobne ich ozdoby i fragmenty, ułożone są z cegły i będąc wypukłe od zewnątrz, z przeciwnej strony są wklę-



fol. S. Czeplieński.

KOŚCIÓŁ Z XVI W. W BROCHOWIE,
POW. SOCHACZEWSKI.

śle, co podobno podziwiała już komisja budowlana z architektem p. Dziekońskim na czele.

W kościele brochowskim brali ślub rodzice Fryderyka Szopena, a sam artysta był tu chrzczony.

Po zwiedzeniu i sfotografowaniu świątyni udaliśmy się nad Bzurę. Na przeciwległym brzegu widzimy wieś Mistrzewice z drewnianym kościółkiem i szeroko rozrzuconymi chatami; rzeka, w tym miejscu dość bystra, wyżłobiła sobie w gliniastej ziemi bardzo kręte koryto; ani mostu, ani promu, żeby się dostać na drugą stronę. Wreszcie znajdujemy łódkę bez wiosel, z jednym tylko drągiem, którą po długich kłopotach dostaliśmy się do Mistrzewic. Tu dowiadujemy się, że kościół tużejszy do niedawna kryty był słomą, co bądź co bądź należy do rzadkości; niestety, obecnie słomę zastępuje blacha. Kościół, zdaje się, sosnowy, choć chłopci mówią, że z „modrodrzewia“.

Słońce stało już nisko nad ziemią, ruszyliśmy więc w stronę Sochaczewa. Podążamy lewym brzegiem Bzury, w górę jej biegu, piękną drogą, wysadzoną olbrzymimi wierzbnami; na prawo zlekka pofałdowane pola uprawne, na lewo zniżające się ku rzece łąki i zagajniki; powietrze przezroczyście, słońce złoci pnie przydrożnych wierzb, kładąc długie cienie w poprzek błotnistej drogi. Ściemniło się już, gdyśmy do-



szli do przewozu pod Trojanowem, pod którym Utrata wpada do Bzury, dosyć tu szerokiej.

Wsiadamy na prom i płyniemy cicho ku drugiemu brzegowi. W idealnie gładkiej wodzie zupełnie czarno odbijają się rosnące na brzegu wyniosłe topole, ponad którymi ukazał się sierp księżyca; widok piękny, iście Boëcklinowski.

Wysiadamy i maszerujemy do Sochaczewa. Mijamy długie przedmieście, rynek i skręcamy na prawo, chcąc obejrzeć ruiny zamku z mostu na Bzurze; po drodze oglądamy kościół i były klasztor panien dominikanek, założony w r. 1244 przez Jacka Odrowąża.

Z mostu przyglądamy się stojącemu na górze zamkowi, którego czarna sylweta o jasnych otworach drzwi i okien rysuje się w świetle księżyca...

Lecz czas na pociąg do Warszawy. Opuszczamy Sochaczew i dążymy szosą do stacji kolejowej.

I znowu drogę nam zabiegają cienie wysmukłych topoli i świerków, światło księżyca rozsrebrza przed nami drogę — i smutno się robi, że to już koniec wędrówki, bo chciałoby się tak iść, bez końca iść...



Aleksander Łętowski.

Dycezya Mińska.

4)
(dok.)

Srodze zniszczony przez Tatarów w końcu wieku XVI Bobrujsk niebawem podźwignął się z upadku i słynął szczególnie za Władysława IV, ku czemu nie ma się przyłożyli jezuiti, zakładając tam szkoły (np. akademicką podwydziałową), szerząc wogóle oświatę. Za Jana Kazimierza jednak Bobrujsk znowu przechodził ciężkie koleje: zdobyty i złupiony przez dzikie hordy kozackie długo nie mógł być odebrany napastnikom, lubo wojska nasze oblegały go pod dowództwem mężnych wodzów: Gąsiewskiego i Wołowicza. Dopiero Janusz Radziwiłł, po zdobyciu Mozyrza, podsunął się pod Bobrujsk i zmusił kozaków do poddania się.

Z liczby kilkunastu do r. 1865 parafii olbrzymi dekanat bobrujski posiada obecnie tylko 4: w Bobrujsku, Hłusku, Chromcach i Świsłoczy. Kościół w Hłusku boleśnie na sobie odczuł rząd Sęczykowskiego, jako dziekana bobrujskiego. Starożytna ta miejscina, nad rzeką Ptyczą, za Rzeczypospolitej należała do województwa nowogródzkiego. W w. XV stanowiły dobra hłuskie własność Holszańskich, potem Połubińskich, Chodkiewiczów, wreszcie w XVII w. należały w połowie do Połubińskich, w drugiej zaś połowie do Czartoryskich.

Hłusk posiada ładną świątynię, fundacji

dawnych swych właścicieli, bardzo bogato ongi uposażoną i zawierającą kosztowne naczynia kościelne, szczerozłote, wysadzone drogimi kamieniami. W dobie popowstaniowej kościół hłuski postanowiono zamknąć, ku czemu podobno bardzo zachęcała jego zawartość. „Kanonik“ Sęcz., nie wiedząc zapewne o zamiarze administracji co do aneksji Domu Bożego, okradł go: wywiózł wszystkie przedmioty najkosztowniejsze i sprzedał je żydom. Nigdy chyba tak dosadnie się nie sprawdziło znane przysłowie: „niema tego złego, coby na dobre (czasem) nie wyszło“ — jak w tym wypadku. Pan „kanonik“ swym czynem nie tylko uwolnił wierznych od swej osoby, gdyż go zamknięto na 2 lata w klasztorze franciszkanów w Grodnie, a potem wysłano z kraju naszego do Taszkentu na kapelana wojskowego, lecz i wybawił kościół hłuski od zagłady: od chwili okradzenia go przez S. nie spędzał on już więcej snu z powiek administracji; aneksji jego zaniechano, starodawna świątynia ocalała i istnieje dotąd. Dziwnie się czasem plecie...

Na zakończenie swych luźnych uwag o dycezyi mińskiej, pozwolę sobie podać jeszcze czytelnikom nieco wiadomości o tych miejscowościach, których mieszkańcy po powstaniu sty-



czniowem zostali wcieleni do wyznania urzędowego, o czym jest mowa wyżej, a także o najstarszej w całej diecezji parafii w Hajnie.

Dubrowy, zwane także i Dąbrowy, osada starożytna w pow. mińskim, na pograniczu pow. wilejskiego, o milę od Radoszkowic. W pobliżu Dubrow leży tradycyjna Góra Dziewicza, albo Dziewicza Góra. Przechowuje się o niej dotąd podanie wśród ludu, że na tej wyniosłości mieszkała ongi uroczą dziewczoja, o której rękę ubiegali się jednocześnie dwaj młodzieńcy. Temu postanowiła dziewczica oddać swą rękę, który w gonitwie prześcignie swego współzawodnika. Wyścigi te atoli były w skutkach oplatane: obaj z wyczerpania padli nieżywi. Ludność miejscowa — jak głosi dalej podanie — za karę żywcem białogłową pogrzebała; obu młodzieńców pochowano w grobie wspólnym. Nad jej grobem urosła brzoza płacząca, na ich mogile — dwa dęby. Drzewa te dotąd się przechowały i starsi ludzie wskazują na nie, jako na dowody, potwierdzające opowieść powyższą, przy czem samą nazwę Dubrow wywodzą od owych dwóch dębów. Takie jeszcze podanie o górze przy Dubrowach: stał na niej ongi wspaniały kościół, który się zapadł potem w ziemię w czasie mszy, wraz z całą zawartością, dzwonami, nawet księdzem i organistą. Dzwony słycać jakoby i teraz pod ziemią.

Dubrowy — to miejsce urodzenia Bened. Dybrowskiego, przyrodnika polskiego.

W XVI wieku Dubrowy należały do Radziwiłłów, w XVII w. do Hlebowiczów i Sapiehy, wojewody wileńskiego, w XVIII w. do Adama Chmary, wojewody mińskiego, który też zbudował tam kościół farny, zabrany po powstaniu r. 1863 na cerkiew.

Stanowiły ongi Dubrowy część hrabstwa zasławskiego.

W XIX wieku Dubrowy należały do Prószyńskich, potem do Lubańskich.

Po aneksji w 1866 r. kościoła dubrowskiego i zaliczenia miejscowej ludności katolickiej do liczby wyznawców prawosławia, garść pozostałych katolików, którzy nie ulegli i maskardzie religijno-politycznej się nie poddali, włączono do parafii sąsiedniej w Rakowie.

Zasław. Zasławia litewskiego, przezwanego obecnie „Zasławlem“, nie powinniśmy utożsamiać z Zasławiem wołyńskim, miastem, dzisiaj powiatowem, ongi stolicą księstwa zasławskiego.

Zasław litewski, w pow. mińskim, o 2 mile od Mińska lit., leży nad Świsłoczą. Należał ongi do Hlebowiczów, potem do Sapiehów, Przedzieckich, wreszcie do Prószyńskich. Skon-

fiskowany podczas powstania, przeszedł w posiadanie p. Chomientowskija, od którego pozwolono niedawno odkupić go spadkobiercom dawnych właścicieli, Prószyńskich.

Do 1832 r. Zasław posiadał klasztor dominikanów i przy nim kościół, oprócz tego zaś drugi kościół parafialny. Klasztor skasowano podczas ogólnej rumacyi klasztorów na Litwie, w r. 1832, kościół zaś dominikański obrócono na cerkiew. W r. 1866 takież los spotkał i kościół parafialny. Tym więc sposobem liczba Domów Bożych w Zasławiu z 2 spadła do 0. Przed trzema laty wzniesiono w Zasławiu kaplicę.

Wołma. Aż trzy Wołmy posiada b. województwo mińskie, w tem dwie w pow. mińskim, trzecią w ihumeńskim. Najbardziej jest znana Wołma w pow. mińskim — miasteczko i dobra, w pobliżu Kajdanowa. Do roku 1866 Wołma posiadała starożytny kościół parafialny, wzniesiony w r. 1474—6 przez Domaszewiczów. W r. 1866 kościół przerobiono na cerkiew, parafię zaś podzielono na dwie części i wcielono częściowo do parafii w Rakowie, częściowo zaś w Kamieniu.

Rubieżewicze, również w pow. mińskim, własność ongi Radziwiłłów, potem Wittgensteinów (przez księżniczkę Stefanię Radziwiłównę). W końcu XIX w. zostały sprzedane Rosyaninowi przez księżnę Hohenholoe, siostrę Wittgensteina, z nakazu władzy: księżna H. jest pruską poddanką. Kościół parafialny rubieżewicki, wraz z większością parafian w r. 1866 zabrano na prawosławie.

Stołowicze czyli Stwołowicze, położone w pow. nowogródzkim, nad Szczarą, pomiędzy Słuckiem a Nowogródkiem. W połowie XV w. Kazimierz Jagiellończyk nadał St. Niemiru Romanowiczowi, stolnikowi. W XVI w. Mikołaj Krzysztof Radziwił, zwany Sierotką, wraz z Pocijkami, dobrami poblizkimi, nadał Stołowicze zakonowi kawalerów maltańskich, zastrzegając, aby w tej nowej komandoryi Radziwiłowie mieli pierwszeństwo, oraz, aby szlachta polska z Litwy miała większe przywileje od szlachty koronnej.

Pierwszym komandorem był syn Sierotki, Zygmunt. Wykształcony we Włoszech, posiadał dużo smaku artystycznego i przyłożył się do upiększenia Stołowicz pod względem architektonicznym, co dość skutecznie i radykalnie w XIX w. zniszczono i zepsuto. Po Zygm. Radziwille komandorami stołowickimi byli kolejno: dwaj bracia Judyccy, Michał Pac, Michał Dąbrowski, hr. Maurycy de Saxe, syn poboczny Augusta II i Urszuli Bohuszówny, stolnikówny



litews. Za Augusta III odjęto komandoryę hr. de Saxe i dano Bartł. Steckiemu, po którym objął ją Mikołaj Radziwiłł, ordynat klecki, wreszcie jego syn, Ludwik, który był ostatnim komandorem stołowickim.

Po drugim rozbiórce Rzeczypospolitej zakon Kawalerów Maltańskich rozwiązano, dobra i miasteczko Lachowicze wcielono do ordynacji kleckiej, przyczem samo miasto wyniesiono do godności głównego grodu ziemi stołowickiej, tak, jak Nowogródek był miastem naczelnem ziemi nowogródzkiej, Słonim zaś ziemi słonimskiej. Trwało to jednak krótko.

Po trzecim rozbiórce Polski i utworzeniu przez Katarzynę w roku 1795 gubernii słonimskiej¹⁾, ziemię słonimską skasowano. Dekanat słonimski liczył do r. 1863 jedenaście parafii, z których po powstaniu styczniowym skasowano 8. W roku 1868 zniesiono ten dekanat stołowicki, włączając go do nowogródzkiego, kościół zaś przerobiono na cerkiew, przyczem zabrano i ślicznie rzeźbioną w Rzymie statwę Matki Boskiej Loretańskiej.

Zadzwiej, położony również w pow. nowogródzkim, posiadał do r. 1866 dawny kościół, który obrócono na cerkiew, zapędzając wiernych do innej owczarni.

Lachowicze, ongi w województwie nowogródzkim, obecnie w pow. słuckim, posiadają jeden z nielicznych w kraju meczetów tatarskich.

W XVII w. Lachowicze należały do Chodkiewiczów. Słynny nasz hetman, Karol Chodkiewicz, wznosił w Lachowiczach zamek, który był ulubionym miejscem jego pobytu.

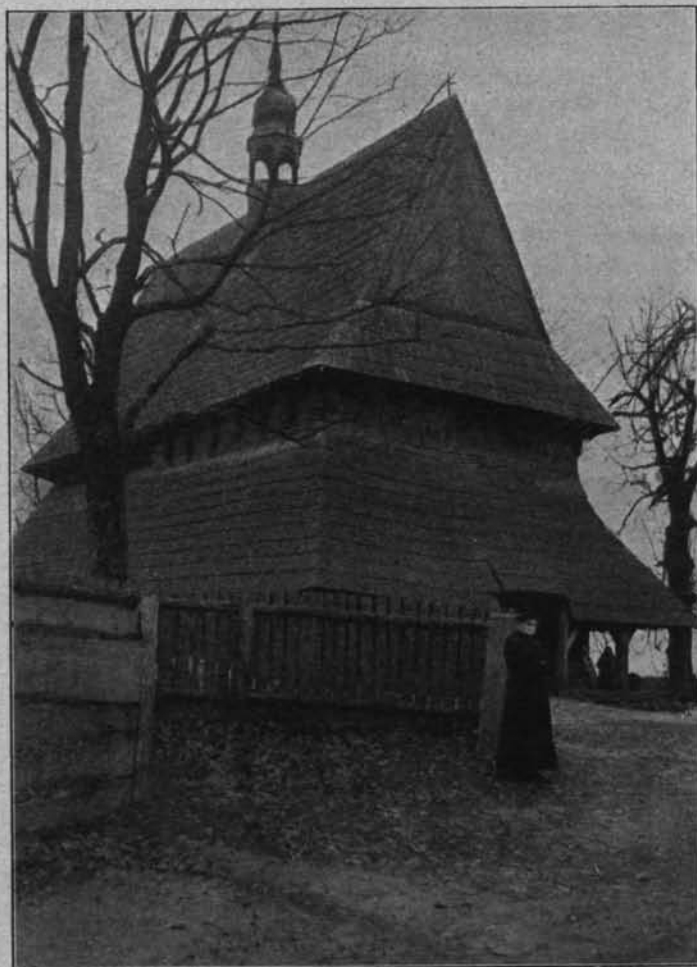
Stanowiły potem Lachowicze własność Sapiehów, w dobie zaś rozbiorowej Ignacego Masalskiego, biskupa wileńskiego. Ponieważ Lachowicze były wtedy twierdzą, przeto na sejmie uchwalono, aby tą fortecą władało państwo.

Biskupowi Masalskiemu dano wzajemian trzy starostwa na Żmudzi.

Jako twierdza Lachowicze odegrały pewną rolę w naszej historii, mianowicie w XVII i XVIII w. Naprzykład, w r. 1660 Judycki, wojski rzezycki, uporczywie bronił tej fortecy, mężnie odpierając ataki moskiewskie pod dowództwem Chowańskiego i trzymał go pod twierdzą tak długo, aż nadciągnął ze swym wojskiem Stefan Czarniecki wraz z hetmanem Pawłem Sapiehą. Nieprzyjaciela napastującego wojsko polskie zniosło całkowicie, zdobywając oboz wraz z wielkimi kosztownościami.

Opis tej sławnej bitwy zamieścił Pasek w swych „Pamiętnikach” na str. 90. Jan Kazimierz uwolnił w nagrodę dobra Judyckiego od wszelkich podatków na lat 30

ZABYTKI POLSKIE.



KOŚCIÓŁ W DZIETRZNIKACH, POW. WIELUŃSKI.

fol. 26 zb. Pol. Tow. Krajozn.

¹⁾ Gub. słonimska, utworzona w r. 1795 z powiatów: słonimskiego, nowogródzkiego, lidzkiego, grodzieńskiego, wołkowyskiego, prużańskiego, kobryńskiego i brzeskiego, istniała tylko rok jeden:

w r. 1796 złączono ją z wileńską pod nazwą „litewskiej”. W r. 1801 powstała gub. grodzieńska.



ZABYTKI POLSKIE.

i wypłacił mu 21,400 złotych tytułem bonifikacji za poniesione w dobrach uszczerbki.

W pierwszej połowie XVIII w. Lachowicze, w których się zamknął Mazepa, stronnik Stanisława Leszczyńskiego, z wielkim trudem, kosztem ogromnych ofiar były zdobyte przez wojska Piotra Wielkiego.

Kościół farny lachowicki, wzniesiony przez Karola Chodkiewicza, gdy spłonął doszczętnie, odrestaurował Michał Masalski, hełman wielki litewski.

W podziemiach tego kościoła, w r. 1866 zabranego na cerkiew, spoczywają zwłoki Tadeusza Reytana, o czem niewielu z nas pamięta, a jeszcze mniej wie!

W końcu XVIII w. było utworzone hrabstwo lachowickie przez Szymona Kossakowskiego. Do rodziny Kossakowskich należą też Lachowicze obecnie.

Hajna, nad rzeką tejże nazwy, ongi własność wielkich książąt litewskich. Wspomniałem już wyżej, że w Hajnie ufundowano za Jagielly jeden z siedmiu najstarszych kościołów na Litwie. Roku jego powstania nie podobna ściśle określić: Długosz, Kromer, Strykowski i Marcin Bielski różnią się nieco pod tym względem. Niewątpliwie jednak świątynia ta powstała w r. 1386 lub 1387. Pierwotny ko-



fol. M. Wlaznicki.

DAWNA KARCZMA W PROMNI, POW. GRÓJECKI.

ściół drewniany po 400-letnim jego istnieniu z gruntu przebudowali: Radziwiłł i Cydzik (rok 1788). W roku 1865 świątynię zabrano na cerkiew, parafian zaś przyłączono do parafii w Łohojsku, po zaanektowaniu na rzecz skarbu lub duchowieństwa prawosławnego rozległych dóbr kościelnych, nadanych ongi przez jego fundatorów.

Zygmunt I stary obchodził ongi w Hajnie nader uroczyste zwycięstwo nad Moskwą, odniesione przez nasze wojska pod dowództwem Konstantego Ostrońskiego.

W połowie XVII w. starostą w Hajnie był Mikołaj Sapięha, sławny ze swej wiary w gusła i walki z czarownikami, z którymi się procesował i wyjednywał na nich w Nowogródku, w sądzie trybunalskim dekrety śmierci.





C. R.

Z Krakowa do Budapesztu.

11)
(dok.)

Dopiero niespełna przed dwoma laty rozpoczął się ruch przeciwny tamtemu — polski. Za staraniem miejscowych, nielicznych inteligentów, oraz za poparciem z Galicji, powstały na Orawie księżnice polskie, poczęto sprowadzać polskie pisemka, wypłeniać z górali podtrzymywane w nich przez działaczy słowackich przekonanie, jakoby byli Słowakami. Założono polskie księżnice, po setce z górą do dwustu książek liczące, w Jabłonce, Bukowinie-Poszkle i w Górnych Zubrzycach. Niezadługo powstaną w Podwilku i w Orawce. Dotychczasowem uwieńczeniem działalności jest wydanie przez pana Eugeniusza Stercutę wspólnie z dwoma innymi inteligentami orawskimi książeczki: „Co my za jedni?“, którą rozpowszechniono najwięcej na Orawie, a kilkaset egzemplarzy wysłano także na Śpiż. Zaczyna się temi słowy: „Co my za jedni? Cy wom to pytanie przysło kiedy do rozumu, wy górnio Orawcy i Śpiśocy? Przecie to pytanie jest bardzo wozne, bo oschodzi się o to, cy my Polacy, cy my Słowiocy? — Statystyka, to jest urzędny spis ludu, nos downiej do roku 1880 za Polaków uznawała, ale od tego czasu, do teraz minulego spisu ani słowa nie było w statystyce o Polokach. Ka sie podzieli? Przecie zginonć tak naroz nie mogli. Tak sie to stało, ze od roku 1880 wścik tyk, co wtedy za Polaków spisani byli, za Słowioków zapisowali i tem sposobem Słowiocy sie pomnozyli a Polocy zgineli z papieru. A kto był ku temu przycynom? Przycynom byli z constki i ci, którzy spisowali, ale nojbardzi my sami byli winowaci, bo my sie całkiem nie starali o to, zeby nos wedla prowdy za Polaków zapisowali. Teraz taka bałamuta jest w tej sprawie, ze na hańbie, juz mało kto z nos sie za Poloka przyznaje — ba — najdom sie juz i tacy, co sie za Słowioków dzierzom. Najwiency jest takik, co padajom, ze my tu nie gwarzemy ani po polsku, ani po słowiacku, ale „po nasemu“ Najdom sie i tacy, co powiadajom, ze nas jenzyk jest mieszanina polskiego i słowiackiego. W tem jeno telo prawdy jest, ze bez długie casy uno sie ta dość walnie słowackik słów zamiesalo do nasej gwary. No, ale nima sie cemu cudować. Kazdy, co w pantalonak chodzi, po słowiacku

gwarzy z nami; potela nom brzencały koło usy te cudze słowa, pokiela my ik całkiem nie przyswoili. — Cy my sie nie bronili przeciwnemu? Ba — tamtysta! Jesce my sami sie usielowali poducyc tej tak zwanej „pańskiej“ gwary. Tak sie nom zdało, ze nasa gwara nie godna, ze kto liepsym kce być, kto sie panom kce przyblizować, ten gwałtem po słowiacku musi wiedzieć. „Nase gware my se juz jeno miendzy sobom w hałupie uzywamy. — A kaindzie? We skole po słowacku ucy ucycel, w kościele słowackie kozania dzierzyskiondz, po słowacku śpiewomy i my w kościele (Liecycany, za kiela ksiendza nima w kościele, jesce śpiewajom i po polsku — tak po kryjomku!) No a cyby to ni móg ucycel zamiast słowiackiego po nasemu gwarzyć z naseimi dziećmi, cyby to nie liepi wyrozumieli Boze słowo po nasym jenzyku?“ Dalej książeczka przekonywa, iż gwara Górnej Orawy i Górnego Śpiża jest polską, wylicza po polsku mówiące miejscowości na Górnych Węgrzech, stwierdza, ze wynaradawianie ze strony Słowaków groźniejsze jest od węgierszczenia, gdyż „óni som krewni nom mowom, toby nos hnet połkneli“. Potem w powiastce „Po naszemu!“ wykazuje jedność narodową Górnej Orawy i Śpiża z Podhalem. Tak tam powiada: „Cy wom nie przysło do rozumu, ze nawet i w Dunajcu, w Zakopanem, w Nowym Torgu ci Podhalanie te samusienkom gware majom. No widzicie, a to przecie uznocie, ze tam nie bywajom Słowiocy“. A następnie: „Miejće na pamieni, ze za nasom gware goralskom ni momy sie co hańbić, nasa gwara jes starodawna polska, juz przed tysionc rokami znajomo. To prawda, ze my zyjemy w wegierskiej krajinie, ale pamientojcie o tym, ze Wengry z Polokami od wieków w dobrym zyli. „Polok z Wyngrym dwa braterki“ tak pado i porzekadło. Nad Polskom kiesik panowali królowie wongierskiego rodu, były i takie casy, kie Wengry z Polokami pod jednym królem zyli. W sterdziestym ósmym roku Polocy przysli nam na pomoc naprzeciw Moskala i Rakusa, tu bojowali pod generałem polskim, co sie nazywoł Bem“. Wreszcie w drugiej powiastce wykazuje całą niegodność przeinaczania się, przybierania cudzej skóry: „Pa-



mientojze^a powiada „Poloku na Gornij Orawie i na Špisie, ze ty dobrym Słowokiem nigdy nie bedzies, boš Polokiem z dziadka, pradziadka. Ba jak sie tak gwałtem bedzies rwol do słowiacyzny, to mozes sie kiešik jesce stać podobnym do — gacopierza, co je ani mys ani ptok. Nie bedzies potem ani Polokiem, ani Słowiokiem, ba bedzies takim dziwokiem na pošmich Źwiata“. Tak kończy: „Poradzem ci cosik. Nie cytojze ty słowiackik nowin ani ksionzek, ba, spróbuj cytać polskie, to sie tam moze docytos, ze 20 milionów ludzi hwoli Pana Boga po polsku, a Ón jik wysłysy i mo o nik starość; nie do im zaginonć. Wysłysy i ciebie, kie go bedzies po polsku o co prosił, a moze ci jesce i rozum ošwieci, cobyš sie nie hańbił za to, zeš je Polok, cobyš tez sanowoł swój jenzyk, cobyš był wierny krajnie, w której bywos, a nie sprzeciwoł sie jej. A na ostatku, cobyš dzierzol przykozanie jego: Ćcij ojca swe go i matke swojom. Ćcij pamiontke jik i jenzyk ten, którym óni gwarzyli. Nie hońb sie za nik, bo grzech i wstyd sie wstydzić ojca swojego i matki swojej i mowy macierzyńskiej“. Słowa te wywarły niezwykle silne wrażenie. Widać wzruszyły głębie serc, istotę własną, przytłumioną wszechokolnem panowaniem obczyzny, przysypaną nalotem obcym. Tak mi powiadał o tem wrażeniu p. Stercuła: „Przychodziło wielu do mnie do apteki, ręce chcieli całować. Czy trzeba będzie się z kim bić? — pytali“.

Acz w skromnej mierze, przejawily się już i wyraźniejsze wyniki agitacyi polskiej. Oto ks. Kubaszek, pochodzący ze Špiža, proboszcz w Bukowinie-Poszkle wprowadził w tej wsi gwarę góralską do nabożeństwa dodatkowego. W tymże Poszkle wprowadził nauczyciel gwarę góralską do wykładu zamiast języka słowackiego. Podobnie uczynili nauczyciele we wsiach następujących: w Jabłonce na dole, w Harkabuzie, Piekielniku i w Zubrzyicy Górnej. Katechizm wyklada się na razie po słowacku, bo obowiązuje podręcznik słowacki. I inne podręczniki niewęgierskie pozostały słowackimi. Co do języka w kościele, to jego wybór zależy wyłącznie od proboszcza. Wprawdzie w języku parafian winien odprawiać nabożeństwo i prawić kazania, ale dzięki bliskości gwar, o których mowa, może bezkarnie góralską zastępować słowacką. Tak się właśnie dzieje. Podobnie ma się z językiem wykładowym w szkołach początkowych: rozstrzyga o jego wyborze nauczyciel. Nie od rzeczy tu będzie wyjaśnić, że istnieją dwojakie szkoły początkowe na całej Słowaczyźnie, na Špiżu i na Orawie: rządowe oraz kościelne i gminne wyznaniowe.

W tamtych nauczyciel obowiązany, poza nauką religii, uczyć po węgiersku, a tylko pomocniczo ma prawo używać języka ojczystego uczniów. W tych zaś obowiązany wykazać w ostatecznych wynikach nauczania znajomość węgierskiego, lecz uczy po słowacku. Spotyka się teraz na Orawie także u pojedynczych osób książki i pisma polskie i nie tylko religijne. Jednak panują jeszcze pisma słowackie. Przychodzi tu w 8 egzemplarzach „Wieniec i Pszczółka“, przychodzi „Prawda“ i „Ojczyzna“. Ale „Wieńca“ wcale nie czytują, gdyż zamieszcza przeważnie kawalki polityczne o stosunkach galicyjskich. Chętniej biorą do rąk „Prawdę“ i „Ojczyznę“, jako przynoszące, obok miejscowych artykułów, ogólniejsze. Najwłaściwszem rozwiązaniem tej potrzeby peryodycznego piśmiennictwa polskiego byłoby założenie pisma miejscowego, tłoczonego częścią w miejscowej gwarze. Projekt podobnego pisma, miesięcznika, istnieje; fundusz na wydawanie znalazłby się, jak słyszałem — jeno rąk do tej pracy narazie niema poddostatkiem¹⁾.

Atoli owa agitacya polska sprowadziła i inne następstwa — natarczywy odpór słowacki. Księża Słowacy kopią dołki pod ruchem polskim nawet przez węgierskie pisma klerikalne. Wogóle, gdzie tylko się nadarzy sposobność, starają się wykazać rządowi węgierskiemu, że, gdy uzna jeszcze jedną narodowość w państwie, to tylko przysporzy sobie kłopotu, jaki ma z niewęgierskimi narodowościami. Z drugiej zaś strony wkrótce po rozpowszechnieniu opisanej polskiej książeczki działacze słowaccy zaczęli rozdawać książeczkę słowacką, w której silnie podkreślają słowianstwo i słowackość, w której matka Sława, płacząc nad odrodzonymi synami, rozpowiada dziwy o swem dziedzictwie, jako rozpostarło się szeroko—od Kaukazu, od Leny ogromnej, gdzieś od Anadiru i Bóg wie odkąd jeszcze aż po Łabę, aż po Adryatyk. Tymczasem działacze polscy postarali się o przyzwolenie żupana na swą działalność. Nadto układają zbiorowy memoriał do rządu węgierskiego, wykazujący, że obudzona na Špiżu i Orawie polskość, nie zaszkodzi lecz raczej korzyść przyniesie państwowości węgierskiej.

Ostrzejsze starcie zwolenników polskości na Górnej Orawie ze Słowakami zaszło podczas spisu ludności w 1910 roku. Przed spi-

¹⁾ Od Nowego Roku zaczęła wychodzić w Nowym Targu „Gazeta Podhalańska“, tygodnik dla górali. Ma ona zaspakajać także potrzeby Špiža i Orawy.



sami odbyło się w mieście Kubinie, jak zwykle, zebranie komisarzy spisowych. Jeden z nich zabrał głos i zapytał, co będzie z góralami polskimi. Na to powstał krzyk, że tu niema Polaków, tylko sami Słowacy. Do żadnego porozumienia nie doszło. Spisy odbyły się w ten sposób, że gdzie spisywali komisarze czujący po węgiersku, jak mię tu objaśniono, tam zapisano Górnych Orawiaków za Polaków, gdzie zaś czujący po słowacku — tam za Słowaków. I stało się w Jabłonce, że dwaj komisarze zapisywali ludność przeznaczoną sobie części wsi za Polaków, a dwaj inni w swojej — za Słowaków. Takie wykazy uderzyły urząd statystyczny. Wystosował tedy zapytanie do obwodu trzcienieckiego, czy te dane są wierne. Żupan, zniósłszy się z okólnymi, większość których oznajmiła, że ich gminy zamieszkują Polacy, wysłał wyjaśnienie, że tam gdzie zapisano ludność za Słowaków, działała swawola i nacisk komisarzy Słowaków¹⁾.

Z okręgu trzcienieckiego, zamieszkałego w dwóch trzecich przez górali, mówiących po polsku, posłuje niejaki pan Skiczak. Pan Skiczak jest pochodzenia polskiego, tutejszego. Podczas poprzednich wyborów występował pod hasłami gospodarczemi, a w ostatnie — już pod narodowemi słowackimi. Ogniskiem słowackiej działalności na Górnej Orawie i ośrodkiem wpływów posła Skiczaka jest kasa oszczędności w Jabłonce, nosząca nazwę „ludova banka“, z czytelnią i księżnicą, do której dostarcza pism i książek Czeska Macierz Szkolna. Do najzarliwszych narodowców słowackich należy ks. Bąk, pochodzący z nadgranicznego Podwilka, proboszcz w Lipnicy Dolnej i Górnej. Zdołał zesłowackić co do przekonań te dwie wioski. Takich zaprzańców jest znacznie więcej. I to również w niższej warstwie, zwłaszcza wśród by-

walców, otrząskanych w świecie, dość ich się spotyka. Tak ich opisuje owa góralska księżeczka: „Najdom się i tacy z pomiędzy nas, krew z nasej krwi, co kie sie ta kany po świecie pore roków obróciól, kie nazod przyjdzie mien-dzy nos, juz nie wie po nasemu, juz sie ku nom jeno po słowacku obzywo, juz sie hańbi za te swojom macierzyńskom gware, w której mu jego matka nad kołyskom śpiewała“. Jednak trudno sie dziwić temu przechodzeniu Orawiaków do innej narodowości, zwłaszcza tych, którzy dosięgli wyższej kultury. Dziwić by się raczej, gdyby było przeciwnie. Wszak dotąd, siłą rozmaitych okoliczności, byli odgrodzeni od polskiej kultury. Na jednostki z po-śród nich, wznoszące się do wyższych warstw działały dwa prądy: wszechsłowiański, słowacki lub państwowy, węgierski, i jeden z nich zwyciężał. To też nawet ci polscy działacze miejscowi, którzy przeszli przez szkołę węgierską; przez całą młodość, kiedy się dusza człeczka urabia, przebyli w węgierskich środowiskach, kształceni na węgierskiem piśmiennictwie, węgierskiej ideologii, węgierskich przykazaniach dziejowych, a z opisami naszych dziejów, z naszymi wieszczami, ba — nawet z polskim językiem książkowym nie stykający się, od naszej ciągłości dziejowej oderwani — stali się kulturalnie i politycznie Węgrami, Polakami zaś czują sięomal nie etnograficznie tylko. Jeden z orawskich inteligentów, pisujący po węgiersku pod imioniskiem Aleksandra Orawskiego, co po węgiersku brzmi Arvai Sandor, ułożył nowelkę na tle pojęć i filozofowania swego ludu oraz dramat aktowy, „Antikristus“, również na tle życia orawskich górali. Utwór ten zakontraktował Teatr Narodowy w Budapeszcie; wkrótce ma go wystawić. Twórca, pragnąc zapoznać z nim Polskę, sam go przetłumaczył na gwaraę góralską z mianem „Jancychryst“ — i przez znanego literata dał do przejrzania wybitnej aktorce polskiej. Manuskrypt utonął w lekceważacem zapomnieniu tej pani. Twórca, mimo dopominania się, dotychczas nie otrzymał go z powrotem.

Orawa należała do naszego państwa tylko do początków XIV wieku. Lecz geograficznie szeroko otwarta ku Polsce, przytem jednaka rodowo i narodowo z Podhalem, a na Węgrzech będąca nieruchliwem uboczem, oddalonem od większych miast — utrzymywała ciągle stosunki z Podhalem. Zapewne dzięki tym okolicznościom zachowała polszczyznę. Do dziś te kresy, zwłaszcza nadgraniczne wsie, wiele łączy z Galicyą. Oprócz odwiedzania targów, jarmarków i odpustów galicyjskich, wiążą się ści-

¹⁾ I jak się obecnie okazuje z urzędowego „Wykazu miejscowości“ ogłoszonego przez węgierski urząd statystyczny na początku b. r. 1913 — uwzględniono Polaków na Górnych Węgrzech w spisach w 1910 r. jedynie w owym okręgu trzcienieckim, gdzie naliczono ich w 14 wsiach 16133. W okręgu namiestowskim na Orawie dotąd nie sięgła dotychczas ręka działaczy polskich, jak również na Śpiżu, w Szaryszu, w Liptowie i w Trenczyńskiem, słowem wszędzie poza tamtym okręgiem zapisano ludność polską za Słowaków. Spisuje się ludność na Węgrzech co 10 lat, więc następne spisy odbędą się w 1913 roku.



ślej z bratnią zagranicą, kojarząc małżeństwa z młodzieżą z tamtego pogranicza; dalej — zarówno sami górale orawscy, jak i sklepikarze tutejsi jeżdżą prawie co dzień do Chabówki i Jordanowa po zakupy towarów korzennych, mąki, skrzydlic, żużli nawozowych, bo tam dostaną taniej, a droga ze wsi bliższych granicy w sam raz taka daleka, jak do Trzciany. Górale z Suchej Góry uczestniczyli w powstaniu przeciw Austrii w Chocholowie w roku 1846.

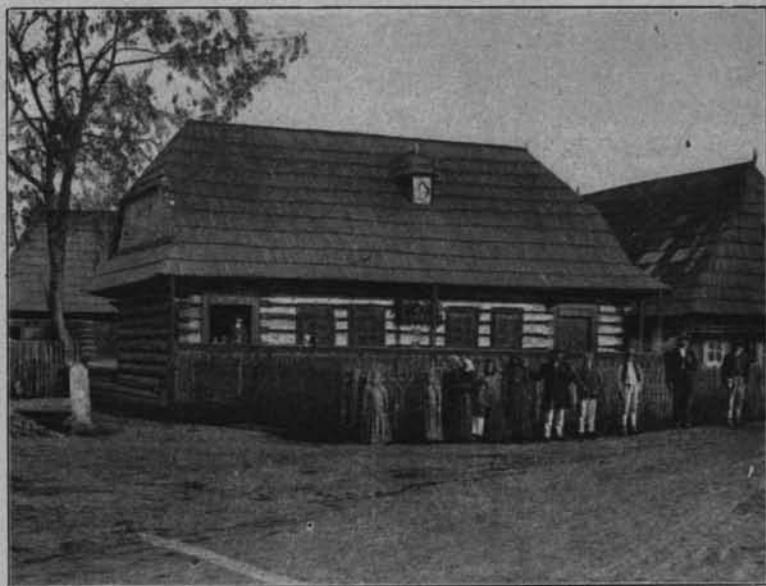
Pogranicze Węgier na zachód od Orawy, w Trenczyńskim, koło Czacy, na granicy ze Śląskiem Cieszyńskim jest również polskie językowo. Zasiadło tam w zważeniu skupieniu kilkanaście wsi polskich.

Słowacy, zaopatrzeni w zasoby zdobyte w Ameryce, wynoszą się z Orawy na dalekie południe węgierskie, gdzie w wędrowności, jako płóciennicy, zasmakowali w dostatkiem tamtejszym życiu, poznali urodzajniejszą ziemię, zyskowniejsze gospodarstwa. Wynoszą się aż do żupaństwa bekieskiego, aż do Banatu. Na ich miejsce, wabieni niskimi cenami, a parci brakiem podaży ziemi we własnym kraju, zaczęli napływać z grosiwem, uciulanem również w Ameryce, Polacy z zagranicy, przeważnie z Podhala: z Zakopanego i okolicy, Poronina, Chocholowa, Zuba Suchego, Białego Dunajca, nieco z okolic Żywca, a trafiali się i z pod Krakowa. Rozsiedli się przeważnie w następujących wsiach polskich i słowackich: w Bobrowie, którego trzy czwarte wykupili od Słowaków, w Zubrogławie, Ślancach, Klinie Zakamiennym, Poszku, Krasnej Górcy. Ostatniemu czasy ten napływ osłabił. Władze węgierskie niechętnie go widzą. Kilka lat temu sporo owych osadników wydalono, zniewalając do sprzedaży gruntu w 15 dni; zresztą nastąpiło to podobno głównie ze swawoli okólnych i było ich nadużyciem.

Przez nadgraniczny Podwilk, jak się dowiedziałem od pewnego naocznego świadka, przemycano się w 1865 roku wielu Węgrów do Galicyi, aby stamtąd przedrzeć się na pole walki w Królestwie. Z dworców orawskich, gdzie się zatrzymywali, przekradali się ostrożnie nocami, aby ująć uwagi żandarmów austriackich, czujnie węszących wówczas po całym pograniczu.

*

Z powrotem przejeżdżam granicę z chło-



fol. E. Steroula.

CHALUPA GAZDOWSKA NA ORAWIE.

pakiem z Podwilka, który po skrzydlice udaje się wózkami do Jordanowa. A żegna mię po węgierskiej stronie krzyż z napisem: „Ku cti a chwale najśwatej Trojici“. Pytam chłopaka, czy oni, Orawiacy, są Polakami, czy Słowakami. „Nie cołkiem Słowacy i nie cołkiem Polacy“ odpowiada. A gdy mu przekładam, że mówią po polsku — „My tu już Uhrzy“ odpiera.

Z lewa od drogi stoży się w dali ogromna Babia Góra, prawidłowy kopiec, o stokach łagodnych w porównaniu z zadzierzystemi spiętrzeniami Tatr Wysokich. Ogromem swym zasłaniając mi tyle widoku, ludzi chwilami, że tuż przede mną wyrasta. Lecz w istocie dzieli ją ode mnie jakaś mila.

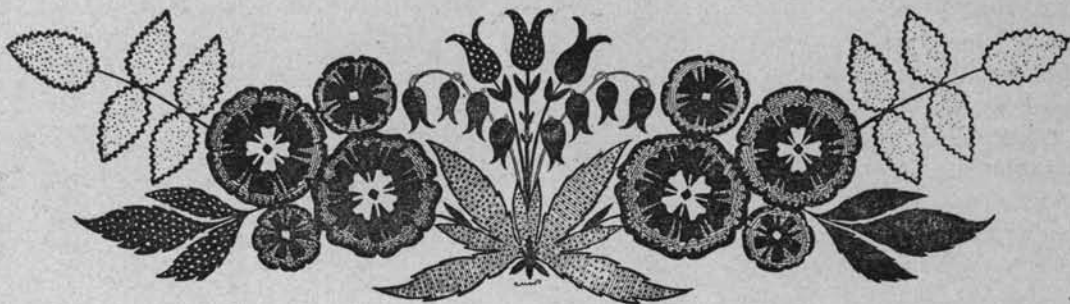
W Galicyi — w Jordanowie, za Jordanowem, w Myślenicach, prawie pod sam Kraków, ciągną się owe, spotykane wpierw w Sądeczyźnie i na Śpiżu, chaty i domy z szerokimi drzwiami, często o oddrzwiach półokrągło zakończonych od góry, jakby naśladowcami bramy kamiennej krakowskich, ze strzechami krytymi gontem. Bliżej granicy trafiają się domki z wyżką, wzniesione wzorem szlacheckich dworców orawskich. Wygląd siedzib ludzkich wkrótce za granicą zaczyna się odmieniać, bo napotyka się wsie coraz szerzej rozrzucone, rozciągnięte wzdłuż dróg kupami chat lub zgola oddzielnymi zagrodami, które dopiero pod samym Krakowem zbierają się w ciaśniejszy porządek. Miasteczka tu rzadsze, niż na Górnych Węgrzech: od Jordanowa np. do Myślenic 32 klm. odległości, a między nimi jedyna licha miejscinka Pcim.



Po drodze zaczepiam i wyciągam na rozmowę chłopaka z Krzczonowa pod Pcimiem. Opowiada mi stroskany, że bawił przed kilku dniami w Krakowie z towarzyszem, szukając pracy przy regulacji Wisły. Towarzysz zdołał

wyprosić sobie jakieś zajęcie, on zaś musiał wrócić z niczem. Więc pewnie podąży do Budzyna, gdzie już ma brata.

W połowie maja, po miesięcznej przeszło wędrówce stanąłem w Krakowie.



Z Pol. Tow. Krajoznawczego.



Wycieczkę do Czerska i Otwocka poprowadził w dniu 15 czerwca p. Al. Janowski. Parowiec Maurycy wyruszył o 7.50 rano z przystani, stanął w Brzominie, skąd ruszono pieszo do ruin Czerska. Po zwiedzeniu zamku wrócono na statek, który przystanął w Kępie Nabrzeskiej pod Otwockiem. W Czersku i w Otwocku przewodnik opowiedział dzieje zamków, a w Otwocku uczestnicy wycieczki wręczyli przewodnikowi adres artystycznie malowany przez p. M. Wisznickiego i opatrzony setkami podpisów uczestników wycieczki. Skutkiem niezaradności sternika Maurycego statek opóźnił się i przybył do Warszawy po 12 w nocy. Wycieczkowiczom dał się we znaki chłód na Wiśle, wiał bowiem zimny wiatr, a temperatura, pomimo połowy czerwca, nie przenosiła 6°.

+ Jak było potrzebne schronisko w dolinie Prądnika, najlepiej świadczy ruch noclegowy w willi pod „Kometą”, gdzie schronisko się mieści: w ciągu miesiąca od otwarcia korzystało z noclegów w schronisku 350 osób. Charakterystyczną jest rzeczą, że w tej liczbie było 328 kobiet, a 22 mężczyzn. Z większych grup korzystały ze schroniska pensje: pp. Matysek, Jankowskiej, Szumowskiej i hr. Plater. Z oddziałów naszych była tylko mała wycieczka z Lublina, z za kordonu wycieczka botaniczna słuchaczy Uniwersytetu Jagiellońskiego i Akademickiego Związku Sportowego. Chłodna wiosna tegoroczna nie sprzyjała ruchowi wycieczkowemu, a w schronisku dawał się we znaki nocującym brak kolder. Obecnie jednak fabryka akcyjna „Zawiercie” ofiarowała do Schroniska 45 kolder, więc nocujący będą zupełnie dobrze zabezpieczeni. Ze Schroniska korzystało 31 członków i 319 osób z wycieczek szkolnych.

+ D. 7 i 8 czerwca odbyła się wycieczka przy udziale 41 osób pod kierunkiem Wł. Strzeleckiego z Warszawy do Grodna i Druskienik. W Grodnie honory gospodarza czynił członek P. T. K dr. Stefan Szumkowski. Zgodnie z programem wycieczki (doręczonym jej uczestnikom uprzednio) zwiedzono dom i ochronę im. Orzeszkowej, skąd udano się na cmentarz, gdzie na mogile wielkiej obywatelki złożono wiązkę żywego kwiecica — dalej zwiedzono kościoły po-bernardyński, brygidek, farny, zamek i starożytną cerkiewkę na Kokoły.

O godz. 12-ej spożyto obiad w stow. „Muza”, a po godz. 1-ej wycieczka popłynęła statkiem, początkowo na spacer w stronę Poniemunia, a potem w dół Niemna do Druskienik, po drodze zwiedzając szluzę kanału Augustowskiego.

O godz. 7½ — zarząd zdrojowiska, z dyr. jeneralem Józefem Kiersnowskim i dyr. administratorem Malinowskim na czele, powitał wycieczkę w Druskienikach.

Spacer do „prababki” i nad Niemen do „fermy”, gdzie wycieczka była podejmowana podwieczorkiem, a dalej zwiedzenie parku i kolacja w domu zdrojowym, przygotowane przez zarząd wód, dopełniła programu dnia pierwszego; — podczas kolacji przewodnik wycieczki w krótkich słowach określił stosunek Tow. Krajoznawczego do zdrojowisk krajowych i dziękował przedstawicielowi zarządu — dyr. Kiersnowskiemu za gościnność; ten zaś dziękował za przyjazd i polecał się pamięci na przyszłość.

Noclegi bezinteresownie zarząd przygotował w 2-ch hotelach zakładowych.

Następnego dnia rano o godz. 7-ej blisko połowa uczestników wycieczki korzystała z uprzejmie zaofiarowanych kąpiei solankowych i gazowych.

Po śniadaniu wycieczka zwiedziła Druskieniki podług planu: spacer nad Rotniczankę, kąpiele piaskowo-słoneczne (obj. dr. Bratkowski), jezioro



Druskonie, kościołek, urządzenia zdrojowo-kąpielowe (obj. dr. Konwerski), spacer na Pogankę.

Przy obiedzie, przygotowanym na godz. 2-gą, przewodnik poświęcił swoje przemówienia pamięci pierwszego prezesa P. T. K. Z. Glogera, który akurat przed 45 laty udał się tym samym szlakiem z Grodna na pierwszą w tych stronach wyprawę naukową krajoznawczą; potem wręczono dyr. Kiersnowskiemu pamiątkę—grupę fotograficzną wycieczki z podpisami.

Po obiedzie, zgodnie z programem, udano się na Leśną — na drugi brzeg Niemna — podziwiając piękny widok na rzekę i jezioro. Podczas odpoczynku przewodnik w krótkich słowach rozwinął ideę wycieczek krajoznawczych i dziękował uczestnikom wycieczki.

Koło godz. 6-ej prom z powrotem przeprowił wycieczkę na prawy brzeg Niemna i wnet bezinteresownie udzielonymi przez zarząd samochodami i powozami—uczestnicy wycieczki udali się na stację dr. żel. — Druskieniki — ażeby stąd osobnym wagonem podążyć do Warszawy, dokąd przyjechano o godz. 7½ rano w poniedziałek.

Współdziałali uprzejmie z przewodnikiem przy prowadzeniu wycieczki czl. Zarz. P. T. K. mec. K. Rakowiecki — i członkowie Komisji wycieczkowej: pp. A. Rzeszotarska, K. Maszki i E. Zawistowski.

Troskliwym opiekunem lekarskim był uczestnik wycieczki dr. Fiszer.

oooooooooooo

Nowe książki.

Halina Poniatowska. Spis książek geograficznych dla młodzieży szkół średnich. Wydawnictwo Stowarz. Nauczycielstwa Polskiego, 1912. Nakł. Gebethnera i Wolffa w Warszawie.

Spis zawiera wykaz tych podręczników, „czytań geograficznych” (wypisów), atlasów, map i czasopism, które zostały polecone dla uczącej się młodzieży przez Zjednoczone Sekcje Geograficzne Nauczycielstwa Polskiego i Związku Nauczycielskiego w Warszawie.

Dla ułatwienia nauczycielom i wychowawcom wyboru odpowiedniego podręcznika do czytania, uzupełniającego treść lekcji, pierwsze dwie części katalogu podzielone zostały na trzy stopnie, stosownie do poziomu umysłowego uczniów — dla klas niższych (A), średnich (B) i wyższych (C). Pomimo, iż spis ten kompletny nie jest, pierwsza ta próba zestawienia literatury geograficznej dla uczących się winien być przez pedagogów i krajoznawców powitana z wdzięcznością. Żałować tylko należy, iż nie przy wszystkich dziełach, w spisie tym podawanych, wskazana jest data wydania, a informacje o firmach wydawniczych podawane są niekiedy błę-

dnie, jak np. o wydawnictwach organu naszego dowiadujemy się stąd, że są one wydawnictwem drukarni L. lub B. K. (Biblioteki Krajoznawczej).

K. K-ć.

oooooooooooo

Kronika krajoznawcza.

+ Polski Przewodnik po Europie, którego dwa wydania wyczerpały się w ciągu kilku lat, wyjdzie w jesieni w wydaniu trzecim. — Wydawca tego pożytecznego dzieła mec. Starczewski z Kijowa powierzył opracowanie trzeciego wydania, podobnie jak poprzedniego, dr. Mieczysławowi Orłowiczowi, prezesowi Kl. Turystycznego we Lwowie. — Głównym celem książki jest obok zebrania wiadomości o tem, co zagranicą jest najbardziej zwiędzenia godnem, i wskazówek praktycznych, poinformowanie Polaków o polskich pamiątkach, zabytkach i instytucjach zagranicą i stworzenie łącznika między przyjeżdżającymi z kraju turystami, a zagraniczną Polonią. — Ziemie polskie wszystkich zaborów, opracowane dla tego Przewodnika, pojawiają się też w osobnej odblite jako „Przewodnik po ziemiach polskich”.

Do Polaków zagranicą zwraca się za naszym pośrednictwem redakcja „Polskiego Przewodnika po Europie” z prośbą o nadsyłanie do przygotowywanego obecnie trzeciego wydania adresów polskich firm, sklepów, hoteli, pensjonatów, lekarzy instytucji, towarzystw, oraz opisu polskich pamiątek i zabytków.

Adres wydawnictwa: dr. Mieczysław Orłowicz, Lwów, ul. Wypiańskiego 9. — Wszelkie informacje pomieszczone będą w Przewodniku bezpłatnie dla użytku polskiej publiczności podróżującej.

× „Wspólna praca” donosi, że w powiecie kolneńskim (Łomżyńskie) na jeziorze Żacha od paru lat przebywa stado dzikich łabędzi. W roku zeszłym było ich 8 obecnie jest już tylko 6, gdy 2 powiększyły trofea myśliwskie nadleśnego z Turośli.

Ludność okoliczna zamiast strzedz od zagłady tego rzadkiego u nas ptaka, przeszkadza jego istnieniu i rozmnażaniu się. Dowodem tego — wybieranie jaj z gniazda łabędzi.

Wogóle pod tym względem panują u nas (i to nie tylko w Łomżyńskim) na wsi niemożliwe stosunki i niszczeniem jaj ptasich trudnią się nie tylko wyrostki lecz i starsi. W samej wsi Borkowie na łąkach torfowych wybrano z gniazd kaczyc kilka kop jaj. Najsukuteczniej zaradziły temu mogło duchowieństwo, karcąc wspomniane zakorzenione wśród ludu wiejskiego bardzo pierwotne zwyczaje.

Inneby były również stosunki, gdyby wśród krajowej straży leśnej mniej było wandalów, wzboga-



cających swoje trofea myśliwskie łabędziami, a więcej związanych z krajem miłośników przyrody ojczystej.

× Nad morzem Bałtykiem istnieje, podobno już od kilkudziesięciu lat, szczególny rodzaj organizacji współdzielczej, tak zw. „maszoperya”. Do dziś przetrwały takie organizacje w Jastarni na Helu. Sieci i narzędzia rybackie są własnością organizacji, a połów dzieli się także między wszystkich. Nietylko wdowa i małoletnie sieroty otrzymują połowę działu, któryby przypadł na ich ojca, ale także ksiądz i nauczyciel otrzymują swą część, chociaż sami ryb nie łowią. Poza tem istnieją jeszcze, zwłaszcza między rybakami nadwiślańskimi, bractwa kościelne, które zajmują się także i ochroną materialną swych członków. W ostatnich latach liczono w Prusach Królewskich rybaków, tak nad morzem jak i nad rzekami i jeziorami, przeszło 8000. Od kilku lat zajęła się ruchliwa zachodniopruska izba rzemieślnicza w Gdańsku organizowaniem rybaków. Pozakładano szereg towarzystw rybackich, mających na celu starać się o poprawę położenia materialnego rybaków. Istniejące towarzystwa rybackie łączą się obecnie w organizację scentralizowaną. Po przeprowadzeniu tejże zamierza się przystąpić do założenia spółki dla wspólnego zakupu sieci i narzędzi rybackich. Chodzi przedewszystkiem o rybaków z nad dolnej Wisły i z nad zatoki Gdańskiej. Liczbę ich ocenia się na 1000. W dalszym ciągu projektuje się założenie fabryki sieci w Gdańsku, spółkę dla wspólnego użytkowania i wspólnej sprzedaży połowu i t. d.

+ Akademia Umiejętności w Krakowie otrzymała w tych dniach od p. Maryi Kamienieckiej, wdowy po ś. p. Stanisławie Kamienieckim, ziemianinie z okolic Balty na Podolu rosyjskiem, wspaniały zbiór motyli i innych owadów, oraz bibliotekę przyrodniczą. Zbiór obejmuje kilkanaście tysięcy okazów, pochodzących przeważnie z Podola, znakomicie zachowanych i wybornie naukowo określonych; reprezentuje on też wysoką wartość materialną. Ś. p. Stanisław Kamieniecki, dzięki studjom, prowadzonym z wielkiem zamilowaniem, posiadał gruntowne wiadomości przyrodnicze, wszedł w stosunki z uczonymi w kraju i zagranicą, a umiał tak zbiór dobrać i złożyć, że na jego podstawie można mieć wyborne pojęcie o faunie owadów Podola. Rodzina ś. p. Kamienieckiego, kierowana prawdziwie obywatelskiem poczuciem, postanowiła uczcić pamięć dzielnego badacza przez ofiarowanie jego zbiorów Akademii Krakowskiej, która przez swego delegata, dr. Ludwika Sitowskiego, odebrała te zbiory na miejscu i do Krakowa sprowadziła.

+ Słynne z piękności położenia Werki pod Wilnem, niegdyś będące własnością biskupa Massalskiego, a w nowszych czasach Wittgensteinów, nabyte zostały świeżo od b. gubernatora witebskiego, Czepieljewskiego, przez p. Kazimierza Spinka, ziemianina z gub. grodzieńskiej. Werki, na skutek starań poprzedniego właściciela, uzyskały prawa miasteczka i dzięki temu mogły przejść w ręce polskie. Nowy właściciel zamierza podobno urządzić w Werkach wzorowe lotnisko podmiejskie.

oooooooooooo

Od Administracji.

Prosimy Sz. Prenumeratorów o odnowienie przedpłaty na kwartał III i drugie półrocze.

TREŚĆ: *Franciszek Klein* — Wschód w sztuce ludowej. *Stanisław Czepieliński* — Z wędrówek po puszczy Kampinoskiej (dok.) (z 1 ryc.). *Aleksander Łętowski* — Dyecezya Mińska (dok.). *C. R.* — Z Krakowa do Budapesztu (dok.) (z 1 ryc.). Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. — Nowe książki. — Kronika krajoznawcza. — Poza tekstem: Mazurzy z pow. suwalskiego. Kościół w Dietrznikach, pow. wieluński. Dawna karczma w Promni, pow. grojecki.

Wioletę tytułową i ozdoby w tekście (motywy łowicze) rysował Mikołaj Wisznicki. — Odbito w tłoczni A. Pęczalekiego i K. Marszałkowskiego. — Składał i famał Ignacy Poniatowski. — Odbijał na maszynie Jan Janczak. — Papier krajowy z fabryk A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwieć.